

PROMIEŃ



PISMO MŁODZIEŻY GIMNAZJALNEJ



WRZESIEŃ

NR. 1. 1936 R.

ROK XII.

— Silniejszy jestem, cięższą podajcie mi zbroję! —

PROMIENI

Miesięcznik Młodzieży Gimnazjum Im. I. Marszałka Polski
J. Piłsudskiego w Ostrowie (Wlkp.)

Kierow. wydawnictwa — Redaktor odpowiedzialny — Redaktor naczelny
Ożęgowski P. Prof. dr. J. Jachimek Szymoniak Jan

Jesień...

W pochodzie pór roku, po wiosnie słonecznej i upalnym lecie, z kolei jesień objęła panowanie nad ziemią..

Niby pod pędzlem niezrównanego artysty - geniusza zmienia się oblicze przyrody, czarując nieprzebraną różnorodnością barw...

Piękną nieraz bywa jesień w tej barwnej szacie, dopóki jeszcze niebo pogodne i słońce na nim złociste! Lecz jakże ponurą się staje wtedy, gdy lazur niebieski kryje się za zasłoną szarych chmur deszczowych, a pod stopami naszymi rozbryzguje się z pluskiem błoto jesiennie...

Wówczas to smutek i przygnębienie wkradają się do duszy naszej i obok żalu za czymś minionym, słonecznym i pięknym, budzi się w niej często gorące pragnienie, aby jak najprędzej znowu zabłysło — słońce wiosenne!...

R. N.

Czy będzie lepiej?...

Smutny to fakt, że dopiero w połowie października wychodzi numer wrześniowy „Promienia.” Ilość artykułów, jaka wpłynęła, była tak minimalna, że nie było nawet czym wypełnić jednej czwartej części pisemka. Wskutek tego musieliśmy odwlec wydanie numeru.

100 lat Gimnazjum

Czy naprawdę wśród połowy tysiąca uczniów tylko mniej więcej pięciu potrafi zdobyć się na napisanie artykułu? Chyba nie!... Więc czemu w takim razie przypisać ten niebывały wprost brak materiału, zwłaszcza, że zachodzi on w okresie powakacyjnym, kiedy tematów przy odrobinie dobrej woli można wyszukać całe mnóstwo!?

A niemożliwe jest chyba, żeby zapomniano już zupełnie o istnieniu pisemka szkolnego!... Zresztą afisze, wywieszane na korytarzu przez kierownika wydawnictwa, aż nadto „jaskrawo” wzywają „rycerzy pióra” do walki na łamach „Promienia.”

Tymczasem takich odważnych „rycerzy” jest nieliczna garstka..

Pamiętam, że przed kilku laty jeden z moich poprzedników, składając urząd redaktora naczelnego, życzył swoim następcom, aby „dławili się” poprostu pod stosami artykułów... A ja nie tylko, że się nie „dławie,” ale nawet dosłownie „ze świeczką” muszę szukać takiego, któryby zdradzał jakiegokolwiek, choćby najmniejsze tendencje „zdławienia” mnie swymi utworami.

Jest rzeczą zrozumiałą, że w takich warunkach regularne wydawanie pisemka staje się prawie że „utopia.” Nie mogę przecież chodzić od jednego do drugiego i dopraszać się formalnie artykułów, a z drugiej strony jestem stanowczo przeciwny temu, żeby wciąż tylko jedni i ci sami uczniowie wypełniali swymi artykułami cały numer. „Promień” jest, a raczej ma być pisemkiem ogółu młodzieży naszego Zakładu, a nie wyłącznie polem do popisu dla najtęższych „polonistów” gimnazjalnych, którzy stanowią wprawdzie główną podporę „Promienia” i ostatnią „deskę ratunku” dla redaktora naczelnego, ale chętnie ustąpią miejsca innym młodszym „talentom.”

Dotychczas jednak jakoś niewielu uczniów czuje w sobie „żyłkę literacką,” bo niniejszy numer jest właśnie wyłącznym dziełem wyżej wspomnianych „filarów” pisemka... Gdyby tak miało być zawsze, to w takim razie „Promień” minąłby się co najmniej w 50% z właściwym swoim „powołaniem.”

Żeby temu złu zaradzić, trzeba pisać, Koledzy, i to jak najwięcej i jak najliczniej. Nie ma na to innego sposobu!

Niech wróca czasy, kiedy ujrzenie własnego artykułu na łamach „Promienia” było punktem ambicji każdego ucznia! — Bo poziom pisemka, różnorodność artykułów i interesująca treść — to wszystko zależy od liczby współpracowników.

Nie wszyscy muszą pisać! — Broń Boże!... Ale niech przynajmniej piszą ci, którzy mają ku temu odpowiednie dane!...

Redaktor Naczelny

Nasz pokój i nasza wojna.

Przeto, gdy ludzie, prywatnie i publicznie, oną Królewską Chrystusa uznają władzę, niesłychanej wtedy wagi na całe społeczeństwo ludzkie spływają dobrodziejstwa, jak wolność na sprawiedliwości oparta, jak spokój i porządek, jak zgoda i pokój....¹⁾

Są w życiu jednostek, narodów, czy państw chwile przełomowe, które nie tyle ze względu na swą nowość, ile dynamikę i wyrazistość zniewalają, i to nawet mimowoli, do zajęcia takiego czy innego wobec nich stanowiska. Obecna międzynarodowa sytuacja zwraca niewątpliwie uwagę jednostek i społeczeństw na aktualny problem pokoju i wojny. Problem ten, powtarzający się w dziejach ludzkości w niezliczonych rodzajach i odmianach, domaga się znów analizowania i dyskusowania. Trudno rozwozić się i roztrząsać tak bardzo różnorodne i rozbieżne w tym względzie stanowiska i światopoglądy. Można jednak ustalić pewne wspólne cechy tych zapatrywań i idei.

Pokój, czy wojnę uzasadniają w wielkiej mierze narody i państwa na podstawie indywidualnych kryteriów „Prawo krwi i żelaza” — oto najczęściej spotykane prawo, mające uzasadnić słuszność żądań wybujałego nacjonalizmu. Zasadą tą kierowały się państwa starożytne, kierowało się nią potężne „Imperium Romanum”. W wiekach średnich na skutek wspaniałego rozkwitu cywilizacji chrześcijańskiej, zasada ta jak gdyby zamarła a odezwała się znów potężnym echem w czasach nowożytnych, powodując krwawe obrachunki państw, zwłaszcza na kontynencie europejskim. Cechą charakterystyczną tej zasady jest to, że stroną wyrokującą i uzasadniającą wojnę, jest jedna ze stron zainteresowanych w obopólnym konflikcie i to zwykle silniejsza. Ekspansja polityczna, czy ekonomiczna, nie może, według tego indywidualnego kryterium, doznać przeszkody — w przeciwnym bowiem razie musi znaleźć zastosowanie

1) Pius XI. Encyklika Quas Primas, z dn. 111 XII. 1925; Act. Apost. Sed. vol. XVII. nr. 15. str. 601-602.

prymat prawa przymusu fizycznego przed prawem sprawiedliwości (o ile takową wogóle się uznaje).

Zasada — jak widzimy — wybitnie, jeśli chodzi o stosunki międzynarodowe, egocentryczna. Swego przemożnego i troskliwego protektora znajduje zawsze w wybujałym, zwłaszcza w obecnych czasach, nacjonalizmie państw totalnych. W takim ujęciu sprawy niewątpliwie domniemaną „słuszność” w realizowaniu swych planów polityczno - ekonomicznych będzie miał zawsze partner silniejszy fizycznie i liczniejszy. Wtedy w swych planach i dążeniach idzie dane państwo per fas et nefas, obojętnie, czy cierpi na tym postęp kultury danego narodu, czy nie. czy cel w jakim powzięta została nieprzyjacielska kampania, jest słuszny i czy sposoby prowadzenia walki utrzymane w granicach etyki naturalnej. Potrzeba jeszcze tylko do tego naturalistycznego stanowiska dolać odrobinę sceptycznego zapatrywania jednego z kierunków socjalistycznych,¹ aby uważać sprawę za przesadzoną: pokoju utrzymać się nie da i wojna jest zawsze usprawiedliwiona. —

Z zasadami imperialistyczno-egocentrycznego nacjonalizmu nie zgadza się stanowczo katolicka nauka społeczna. Niewątpliwie padnie tu natychmiast taki mniej więcej zarzut przeciwnika: Z katolickim - utopijnym pacyfizmem nie można się liczyć jest on nierealny i nieżyciowy. — Zdaje się że jeśli chodzi o katolickie pojęcie pacyfizmu, bardzo często zachodzi wiele nieporozumień. Oznacza on ni mniej, ni więcej, jak pokojowość, opartą o stałe zasady moralne sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej. Tak pojętego pacyfizmu nie można identyfikować ze ślepą biernością i uległością wobec naruszenia stałych praw, jakimi powinny kierować się we wzajemnym współżyciu narody i państwa. A nie są one według nauki katolickiej inne, niż te, które obowiązują człowieka jako indywiduum. „Ewangielia bowiem nie zawiera innego prawa dla jednostek, a innego dla państw i społeczeństw które są przecież tylko ugrupowaniem jednostek.”²

A zatem katolicyzm dopuszcza wojnę? — Tak, lecz pod pewnymi warunkami: 1) cel, w jakim wypowieda się wojnę, jako sposób regulowania zatargów, musi być słu-

1) Mam tu na myśli socjologiczny, kierunek walki o byt, którego główną tezą jest, iż tworzenie się państw i potęgi kulturalnej dokonuje się prawie li tylko drogą walki. Jego twórcami oraz gorącymi zwolennikami byli: socjolog, Polak-Żyd, Gumplowicz oraz niemiecki feldmarszałek Ratzenhofer.

2) Papież Benedykt XV.

szny, godziwy (obrona własnego Państwa, czy pomoc pokrzywdzonemu państwu drugiemu)

2) Państwo przystępujące do wojny powinno wyczerpać uprzednio wszystkie możliwe środki pokojowego załatwienia nieporozumień (drogą dyplomatyczną, przez instancje rozjemcze.)

3) Środki, używane do osiągnięcia celu muszą być uczciwe: stąd wykluczone jest znęcanie się nad ludnością państwa czy narodu, z którym się wojuje, rabowanie mienia, niszczenie szpitali i t. d.

4) Czysta intencja w prowadzeniu wojny wraz z proporcją między winą a karą.

W granicach takich postulatów sprawiedliwości dopuszcza kościół wojnę. Zasadniczo jednak jest jej stanowczym przeciwnikiem, stojąc na zasadzie, iż jedynie wzajemne stosunki państw oparte na zasadach sprawiedliwości i miłości Ewangelii, mogą sprowadzić prawdziwy pokój i harmonijne współżycie. — Takie są zasady naszego (t. j. katolickiego) pokoju i naszej wojny.

Nie jest to żadna utopia, lecz możliwość zupełnie realna, która w wielkiej mierze znalazła swe wspaniałe zastosowanie w wiekach średnich. kiedyto na kontynencie europejskim pojęcia: obywatel i chrześcijanin, bodaj zupełnie się ze sobą identyfikowały.

Stąd też nie bez błahych powodów papieże czasów nowożytnych (Pius IX, Leon XIII, Benedykt XV, Pius XI) są gorliwymi propagatorami przywrócenia prawom międzynarodowym stałego i nienaruszalnego autorytetu, jaki płynie z zasad katolickich.

Chodzi bowiem o stworzenie jednolitej w tym względzie opinii katolickiej, któraby za sprawą swych przedstawicieli, zdołała na życie państw i społeczeństw wpłynąć w sposób decydujący.

W numerze 14 niedawno powstałego tygodnika katol. „Kultura” jeden z autorów pisząc o stworzeniu jednolitego frontu katolickiego we wszystkich dziedzinach życia, zaznacza iż „w polityce zagranicznej winien żądać stosowania

Nie dość kochać dobrych, ale trzeba kochać złych, gdyż tylko miłością można z nich zło wyplenić.

H. Sienkiewicz.

etyki Chrystusowej jak i w życiu międzynarodowym." „Oczywiście," pisze autor, „jesteśmy gorącymi patriotami, gorliwymi do dania życia za ojczyznę w obronie przed najeźdźcą. Ale front czarny (t. zn. katolicki — przypisek własny) odrzucić musi modne dziś hasło szowinistyczne, głoszące „prawo krwi i żelaza," a więc uważające wojnę zaborczą za uprawniony sposób zadowolenia potrzeb ekspansyjnych narodu. Braterstwo narodów w Chrystusie — oto naczelny nasz cel....."

Wychowania w tym duchu młodego pokolenia wymagają zasady naszego pokoju i naszej wojny.

Na podstawie imperializmu zaborczego i wyhulałego nacjonalizmu nie da się utrzymać trwałego pokoju, który jest podstawą postępu kulturalnego ludzkości.

Bogdan Czypicki

Gilbert Keith Chesterton nie żyje !!

Dzień 14 czerwca br. smutną zapisał się datą w dziejach angielskiej literatury katolickiej. Umarł nagle na udar serca autor „Heretyków," twórca dzieł: „Powrót don Kichota," „Kula i krzyż" — znakomity publicysta i pisarz w jednej osobie — Gilbert Keith Chesterton. —

Scharakteryzować jego twórczość i działalność byłoby chyba pracą syzyfową. Ograniczę się tylko do kilku zasadniczych uwag.

Chesterton urodził się 1874 r. w Londynie. Po ukończeniu szkoły średniej w stolicy Anglii, zapisał się do Szkoły Sztuk Pięknych, Już tutaj bodźcem do poszukiwania i urabiania własnego poglądu na świat jest obraz dekadentyzmu młodzieży. Wynikiem wczesnych poszukiwań za pozytywną ideologią jest wydany w r. 1905. Zbiór szkiców p. t. „Heretycy," gdzie występuje przeciw fałszywym z gruntu zasadom materialistycznego poglądu na świat. Katolikiem w formalnym tego słowa znaczeniu Chesterton został później (na katolicyzm przeszedł dopiero w r. 1922. Ale w jego twórczości od pierwszego zbioru poezyj (1900 r.), aż do tego etapu, w którym nastąpiło prawdziwe pojednanie się z Kościołem katolickim (1922 r.) przebijają dobitnie i wyraźnie katolicki pogład na świat. Swoje credo religijne sformował

we wydanej w trzy lata po „Heretykach” (w r. 1908) Dopomniła się o swe prawo do bytu, w całej jego twórczości, dążność do szukania i uznawania prawd metafizycznych. Ten niezaspokojony głód transcendentalności, odzwierciadlający się we wszystkich prawie utworach, ujawnia się w szczególnie sposób w takich powieściach, jak: „Człowiek, który był czwartkiem” (1908 r.), „Kula i krzyż” (1910 r.), „Żywy człowiek” (1912 r.)

Chesterton należał do tych niewielu, którzy w wypowiedaniu swych poglądów i zmaganiach duchowych używają wszelkiego rodzaju gatunku literackiego.

Prócz rozpoczętej na łamach własnego pisma „G. K's Weekly” działalności dziennikarskiej, poruszającej zawsze podstawowe problemy, działalności powieściopisarskiej, nie omieszkał zużyć swej energii twórczej w dziedzinie dramatycznej, tworząc między innymi dwa utwory dramatyczne: „Magia” i „Czary,” osnute, oczywiście w dowcipnej, jak zwykle, formie dialogu, na tle zagazackim, jakim posługiwał się w śmiałym wyznawaniu przetrwawionych przez siebie zasad. Także też są jego głębokie, filozoficzne *essays*. Używając w nich mistrzowskich paradoksów, w poważny, a zarazem przystępny sposób umiał walczyć z przeciwnikami ideowymi. Walka ta jednak, z jego strony, była w zadziwiający sposób szlachetna, pozbawiona wszelkich ukrytych chęci zemsty, czy osobistej nienawiści. Styl jego, nie pozbawiony nigdy charakterystycznego dowcipu i humoru, zewnętrznych objawów chrześcijańskiego optymizmu, w tej, pełnej miłości i zapału dla dobra wielkiej sprawy, walce, zadziwi każdego kto weźmie do ręki jakikolwiek z jego utworów. —

W swych poglądach społecznych jest wyrazicielem chrześcijańskiej sprawiedliwości społecznej, wiodącej nie do utopijnych marzeń Marksa, lecz do słusznego podziału dóbr materialnych. W wymienionym już własnym dzienniku propaguje ideę dystrybucyzmu, opartą na wskazaniach encyklik papieskich. —

W tymże samym organie prasowym porusza aktualne wówczas (1925 r.) dla naszego kraju problemy polityki i państwowości naszego kraju. Trzeba bowiem wiedzieć, że Chesterton był wielkim przyjacielem Polski i kraj nasz przedstawiał zawsze w jak najlepszym dla nas świetle w opinii Zachodu. A wiadomo jakie to hasła i mylne sądy kra-

1) W początkach lipca br. nadawało Polskie Radio w formie słuchowiska, fragment tej kapitalnej w swej koncepcji powieści, poruszającej odwieczny problem dobra i zła.

żyły o nowoodrodzonym państwie polskim i jego historii, zarówno w Anglii, jak i we wszystkich krajach Europy. Urabia więc opinię narodu angielskiego dla naszego kraju, zarówno jako dziennikarz, jak i publicysta. Nie omieszkał też przybyć w r. 1927 do Polski gdzie, w czasie pobytu w różnych ośrodkach akademickich, wygłaszał lekcje na na temat łączności kulturalno-politycznej Polski i Anglii.

Fakt pokochania również przez Chestertona naszego kraju nie zdziwi nas, jeżeli sobie uprzytomnimy, że pełen miłości i chęci współpracy z każdą duszą ludzką, duch Chestertona nie zgadzał się, bo nie mógł inaczej postąpić, z imperialistycznymi, zachłannymi tendencjami zarówno własnej ojczyzny, jak również naszych państw zaborczych. Idea chrześcijańskiego pokoju, która wyrosła z jego na wskroś religijnego nastawienia ideowego była zbyt silna, aby nie dać wyrazu w jakikolwiek bądź sposób.

Na jeden jeszcze moment jego poglądowości warto zwrócić uwagę. Chesterton umiał pogodzić w zadziwiający sposób dwa, stojące dziś na pozór, w tak wielkiej sprzeczności — pojęcia: wolność i dyscyplinę. Sam wyszedłszy z liberalnych kół małomieszczańskich, był urodzonym indywidualistą. Głosił zawsze zasadę wolnej osobowości ludzkiej, nieskrępowanej zachłannymi tendencjami totalizmu państwowego, czy równie jak tamte niesprawiedliwymi dążnościami wielkiego kapitalizmu. Wartość osobową jednostki stawia na naczelnym miejscu. Indywidualizm ten jednak nie przekracza dozwolonych mu granic, w dziedzinie światopoglądowej umie w zupełności pogodzić wolność rozumu z autorytetem wiary.

Wszzechstronna na wskroś katolicka w swej twórczości literackiej, postać Chestertona jest znów wymowną ilustracją i dowodem wyższości wolnej twórczości w ramach programu katolickiego. Jego spuścizna będzie na długo świadczyć przedstawicielom dzisiejszej literatury, że mogą i powinny harmonijnie współdziałać w wolnej twórczości jednostki ludzkiej odwieczne zasady Prawdy, Dobra i Piękna.

B. Cz.

Wołasz Boga: on często schodzi pokryjomu
I puka do drzwi twoich, aleś rzadko w domu.

A. Mickiewicz.

Czar wsi.

Ziemi płaszczyna pocięta na szmaty
Przez pól geometrię elementarną —
Porozrzucane to tu, to tam chaty,
Jak dziecinne hocki-klocki
Nad drogą błotnistą, czarną.
W błocie lnianowłose, .
bose,
umorusane i skrzeczące dzieciaki.

W ciężkim kompleksie dworu, pośród czworaków bieli się dworek rządcy lekki, o ścianach z których tynk sobie opada i brudną ukazuje powierzchnię.. Drogą idzie bona z dziećmi dziedzica. Jakaś wymalowana Francuzka w berecie na prawym uchu. Wysokie jej korki grzęzną w miękkiej ścieżce... Anemiczne, hodowlane dzieci paplają po francusku. Omijają z dala stadko wiejskich berbeci..

— Madame, pourquoi ces enfants s'a n'issent-ils w błocie ?..
Madame jest zgorszona...

Ziemia odwróciła się od słońca — smętny popiół mroku zasypuje jasność dnia. Idą ciężkimi krokami chłopci posępni, spracowani. Jada dworscy — podcinają wychudłe szkapy.. Kilka pyzatyh dziewczek na drabiniastym wozie śpiewa wrzaskliwym sopranem, jakiś parobek wtóruje im mrukliwym pobekiwaniem.

Gdzieś dzwony dudnia na Anioł Pański.

Z półmroku, po rosie dobiegają z dworu wykrzykniki przekleństw, grubych wyzwisk, tłustych epitetów i jazgotliwej klótni.

Ryczy głodne bydło, ujada pies, krzyczą głupie gęsi, rechocą żaby...

Coraz szarzej, ciemniej, ciszej... Zaczyna się poezja.

Na skrzydłach nocy sen szarooki

Ku dumnym chatom leci,

Na polnych ścieżkach zwiewne stawia kroki...

I wogóle jest teraz romantycznie, cicho. że myśl wybiega wysoko, szeroko, aż w gwiazdny puch, w planet wiekuiste szlaki — i człowiek się rozmarza... Zauważa, że jest sam — i zaczyna tęsknić... Przypomina sobie, pragnie kochać, wzdycha (zresztą niepotrzebnie) do księżycy, wdycha

rzeźwe wonie wieczorne, pieści się urojeniem. W karczmie, na środku wsi, ponury chłop wychyla szósty kieliszek a brutalne parobczaki tłoczą się przy „nowoczesnym, automatycznym, amerykańskim bilardzie dziesięciodziurowym.” —

Dzień dżdżysty. Po mokrej łysinie ścierniska wlecze się zaprzęg koni, plóg i chłop. Szary chłop w szarym ubraniu, łatanym na plecach prostokątami łat, we wymiętym kapeluszu, spod którego patrzą bezmyślne, wyblakłe przy żniwach oczy. Chłop ordynarnie klnie na konia... Czasem powietrze przesiąkłe wilgocią, przekreśli świst hata... Prostokąt pola, linia brzozy, niezgrabnie wyciosana bryła wieśniaka — bryły koni powolnych — grudy przekleństw — świst hata — skrzyp plógu — nudy — szara bezmyślność — mechanizacja ruchów... A gdzie poezja?

Niedziela. Kościół. Msza. Ksiądz rzuca z ambony w lud słowa religii... Słuchają, ciężko przeżuwając okruchy. — Potem ze stękiem gną się w Przeistoczeniu i chropowatymi pięściami biją się w piersi. Wieczorem „dożynki,” w których jest wszystko prócz wspomnienia o żniwach. Lud wiejski tańczy tanga, toxtroty — czasem polkę — piją, przepijają w godzinę miesiąc trudu, klną „piera” się o dziewuchy, dożynki zmieniają się w „dorzynki,” bo dorzynają się nożami... Nazajutrz znów świeci słońce, jest ładnie, ciepło, uroczno na polach, w lesie tyle poezji, tyle czaru wsi, że można zbierać garściami i połykać z uśmiechem słoneczne rymy... —

Józef Szczublewski

Deszcz.

Deszcz pada...

deszcz szeleści na naszej szybie,

deszcz tętni w rynnie,

tętni i pluszcze monotonna,

krople deszczu,

deszczu kaskada

perlista w rynnie tętni,

placze łzami na szarej szybie,

tętni i pluszcze monotennie
Ciepłe czoło na zimnej kładę szybie,
i patrzę jak deszcz pada.
Myśli me cichną monotennie,
po duszy szarej
jak świt jesienny...
Deszcz kroplami w rynnie tak monotennie tętni
Życie jest nudne jak pensjonarki pamiętnik...
Na wietrze tańczy antena
i jęczą żałośnie druty telefonu
i radio gdzieś dudni.....
Deszcz, deszcz, deszcz tętni w rynnie,
szeleści na szarej szybie
i pluszcze monotennie.....
Z suchego pokoju wylatam w deszcz,
w kroplisty eter wysoko...
Z dachu opadam tętniącą rynną
i w mętym płynę potoku...

Józef Szczublewski

Abeuntibus parentibus..

Byla to mgliste popołudnie, atmosfera duszna i niepewna, zupełnie jak w polityce europejskiej. Przed drzwiami pewnego mieszkania na drugim piętrze zatrzymał się poważny młodzian w okularach. Z wnętrza mieszkania dochodziły raz po raz okrzyki: „Uspokójcie się! Pozwólcie mi mówić! Precz z napojami wysokowymi! Złam pysk!” itp. Wszystko to do złudzenia przypominało obrady naszego samorządu.

Młodzieniec przed drzwiami mruknął: To oni, na pewno oni! — i zakolał do drzwi.

Otworzył sam przemily gospodarz i wprowadził do środka, mówiąc: Dobrze, żeś przyszedł; kwiat młodzieży jest dziś u mnie. Młodzian w okularach wszedł więc do tej kwieceniarni; pochyliły się kielichy na powitanie — ładne kwiatki — zawołał W tej zacnej chwili przemówił gospodarz:

Panowie! Jesteśmy tedy w komplecie, możemy więc

zastanowić się nad ulepszeniem metod naszej pracy samokształceniowej i nad zatamowaniem samorządowych niepowodzeń fali...

Za pełno nie należy — przerwał basem okularnik.

...Fali, która nawet samorządową znosi na błędne ścieżki i aleje.

— O tak — faktycznie — rzeczywiście — istotnie — najzupełniej — westchnęli obecni.

— Pracę tę my, przyszłość narodu, a za lat kilkanaście jego teraźniejszość, zacząć musimy od siebie. Koledzy! Trzeba zacząć surowe życie, by za lat parę, po pracy wytężonej, po trudzie i znoju, w nagrodę za dni bezsenne, za noce pracowite...

(Tu Muszka, rozkoszny psiak, zawyla ponuro, więc nastąpiła chwila przerwy.)

...Zostać dyplomowanymi bezrobotnymi — dokończył drugi okularnik, brzydki cynik, a trzeci okularnik (trzech ich było — okularników) dodał natchniony.

— A może? Może za lat dziesięć spełnią się sny nasze czarowne i emerytami zostaniemy... A gdyby nam przed tym urzędnikami państwowymi być wypadło, to zdobywszy najpierw środki utrzymania, będziemy nimi, państwowymi urzędnikami.

Tu okrzyki entuzjazmu zwały się w jeden chaos. (Świat złudzeń powstał z chaosu.. myśli?)

Na stół wgramolił się z trudem gospodarz i zawołał:

— Koledzy! Stańmy mocno na nogach i wnieśmy rozgłośny wykrzyk: Niech żyje młody, wolny stan!

Na tym część oficjalną poważną zakończono.

Rozmowa nastąpiła ożywiona. Okularnik nr. 1, znany recydywista — od lat kilku uparcie popełniający wiersze, basem udowodniał, że pisownia nasza powinna być fonetyczna.

Była też mowa o Maniach i maniach, o regulaminie nowym, do przestrzegania, którego rodzice pisemnie mają się zobowiązać (tak!) i owielu innych nieszczęściach, po ludziach chodzących.

Chudy, zgarbiony księżyc rozpoczynał już swą conocną gehennę, a mgła utworzyła naokoło niego jasną, jakby męczeńską aureolę. (Przypomnieć mógł się obywatel, płacący podatki i składki do Ubezpieczalni), Wtedy cała gromadka wysypała się na ulicę i pewnym krokiem podążyła do teatru.

Charles

Fanfara.

Młodzi! Powstańcie, rozpręćcie ramiona
Życia.. entuzjazmu nabierzcie w piersi!
W pucharach serc moc się czai spieniona,
Przyszłość nas woła, my chcemy iść pierwsi.
Idealów wieszczą pieśń zdobi nam skroń;
Nowe w życie wartości wnieść chcemy.
Po szczytne hasła żądną wyciągniem dłoń
I młodzieńcze marzenia przekazuję w czyn!
Fanfara drży,
Pobudka gra!
Słońca lśnią skry
W płomienną dal — —
Razem się sprężmy w spontanicznym tłumie,
Zwartych czworoboków sformujemy szyk!
Piersi wypręćcie w młodzieżcej dumie,
Źwórczego entuzjazmu niech brzmi: pieśń—krzyk
Fanfara drży,
Pobudka gra!
Słońca lśnią skry
W promienną dal — —
Nowe nam hasła spadają gradem
W serca nam świeża wrosła pieśń.
Na twardą życia idziem autostradę
Rozmachem dłoni młodą rzucić wieść.
Hej, powiąźcie krzepkie dłonie
W bratniej miłości ogniwa,
I z pieśnią młodych huczna jak płomień
Idźmy przyszłości laury porywać!

Józef Szczublewski

Wielkimi są tylko czyny... To też życie bez wielkiego
czynu jest nędzą i głupstwem.

S. Żeromski.

Z dziennika pierwszoklasisty.

3. IX. Dziś byłem pierwszy raz w gimnazjum. W klasie pobiłem się ze Stefkiem Pyrką. Zostaliśmy przyjaciółmi na na śmierć i życie. Nic nie zadali.

4. IX. Spóźniłem się do szkoły. I tylko o minutkę a Pan Dyrektor nie chciał uwierzyć, że zegarek stanął. Ktoś zjadł mi jabłko.

5. IX. Na przerwie ktoś z czerwoną opaską dał mi po karku. Stefek wyskrobał na mojej połowie ławki „Helcia” Jesteśmy śmiertelnymi wrogami. Dziś już zadali...

6. IX. Dziś mię pytali o trójkącie. Umiałem, ale się omyliłem i dostałem czworę. Na gimnastyce zapomniałem „paputków” i zapisali mię do dziennika. Chciałem zeskoczyć z okna na ulicę, bo mi świat obrzydł, ale mię zobaczył profesor i znów zapisał do dziennika. Stefek mi rozbił nos. Pogodziliśmy się.

7. IX. Dziś była niedziela. W auli nasza klasa stała a inne siedziały na ławkach. Też sprawiedliwość!

8. IX. Kazali kupić książkę do przyrody. Odkupiłem od jednego za cztery złote. Nowa kosztuje 3,50 i nie wiem od kogo kupilem.

9. IX. Książka do przyrody, którą kupilem, nieodpowiednia.

10. IX. Dziś nasza klasa chodziła do dentystki. Wszyscy się bali, ale ja się nie bałem. Sam uciekłem na podwórze.

11. IX. Dziś woźny wszedł na śpiewie do klasy i powiedział: „Talusiewicz do dentystki”. Profesor powiedział: „Znów się zaczyna!” Myślałem, że mi iść nie pozwoli, ale pozwolił. Nic nie bolało!

12. IX. Dziś chciałem kupić „sznekę,” ale Kolega z „czerwoną opaską” nie wierzył. Wypędził mię na podwórze.

13. IX. Znów mię pytali, ale z historii i tego właśnie nie umiałem. Dawałem słowo honoru profesorowi, że Ateny wiszą na dachu, ale nie uwierzył... Zbiłem szybę i rozlałem atrament na zeszyt, ale dziś się niczem nie martwiłem, bo trzynasty...

14. IX. Niedziela. Znów staliśmy, ale ja nie byłem taki honorowy i siedziałem na podłodze. Jutro nie idę do szkoły, bo matka pierze spodnie... Ale najpierw sprala mnie.....

15. IX. Nie byłem w szkole. Jednak gimnazjum przynosi mi nieszczęście, ale dziś był dzień szczęśliwy. Przeczytałem „Poszukiwaczy złota.”

16. IX. Zapomniałem usprawiedliwienia. Profesor powiedział, że już niepotrzebne... Wybrali mię na prezesa klasy, bo dziś była pogadanka. Musiałem dać Stefkowi jabłko, żeby na mnie głosował.

17. IX. Stefek chciał jeszcze jedno jabłko, bo powiedział, że powie że ja kupiłem urząd... Musiałem mu dać.....

18. IX. Dziś „ten z czerwoną” wszedł do naszej klasy i kazał mi wyjść na podwórze. Powiedziałem, że jestem prezesem a on mię wyrzucił. Jak tak mają szanować urzędy....

„Nowicjusz”

Czar jesieni.

Za oknem czarna noc...

W ogrodzie snuje czar

Przedziwna, wielka moc.

Cichutki kwiatów gwar...

Ktoś tam podsłuchuje.

Bo niby z bożych far

Jesieni śpiew się snuje.

Ktoś liście strząsa z drzew,

Ktoś sieje nocą kwiaty.

Na czarodziejski zew

Ulata ktoś skrzydlaty..

I tylko wiatru wiew

W ogrodzie liście strąca..

To już jesieni zew —

To jesień królująca.

„Rozmarzony”

Kącik Najmłodszych.

Prowadzi Sekcja Dziennikarska Kółka Polonist.
pod red. R. Fiksińskiego (III b.)

Felieton.

Nasz Profesor Opiekun wydał rozporządzenie, że u sprawiedliwienia nieobecności pisane będą w zeszytach (dzienniczku).

„Znowu złotówka siknie” — szepnął głośno Rysio. „Czemu tak dużo?” — pyta Opiekun. „Ja kupuję zeszyty od razu na pół roku, Panie Profesorze!”

Pewnego razu pytał profesor mojego sąsiada z prawej: „Ziemia więc ciągle wiruje dookoła swej osi. Wskutek tego spłaszcza się na biegunach. I jak będzie się ciągle spłaszczać, to w końcu, co się zrobi z ziemi?” — „Flak” — odpowiedział mój sąsiad z prawej.

Ta nowa pisownia jest bardzo trudna do nauczenia. Bo pomyślcie tylko Szanowni Czytelnicy, że niektórzy twierdzą, iż „pewnik” pisze się przez dwa „p”, czyli „ppewnik”, albo „Achilles” przez „y” czyli „Achyllēs”. I jak im tu wierzyć?

A teraz o przysłowiach:

„Nomina stultorum, sunt ornamenta locorum” powiedział ktoś mądry. Nasz poczciwy „Igiel” uwierzył mu i wpisał się do dziennika. (W kratkę „Uwagi”.)

Henio, mój dobry znajomy, lubi w czasie tęsknoty nuć sobie:

„Chodźcie wszystkie pod me skrzydło”

„Po jednej już mi się zbrzydło” — zapominając, że „chciwy dwa razy traci.”

„Pusta beczka najgłośniej dudni” —

Exemplum: Kierownik Sekcji Krytycznej i wogóle cała ta sekcja.

„Plenus venter non studet libenter” —

A potem „Jasiu” dziwi się, że mu łacina ciężko idzie..

Quod confirmat

Atram.

Kolejką na Kasprowy.

Pogoda jest wymarzona. Góry a szczególnie Giewont, połyskują w słońcu. Bierzemy plecaki, w których mamy całodzienny prowiant i wyruszamy, najpierw do Kuźnic. Trzeba mieć herkulesową siłę, by w słońcu iść przez trzy kwadransy pod górę.

Po nadludzko - bohaterских wysiłkach jesteśmy wreszcie u celu. Widzimy budynek cały z kamienia, skąd odjeżdża kolejka linowa.

Kupujemy bilet (8 zł, zniżka ucz. 5,40 zł.) i stoimy w oczekiwaniu na wagonik. Następuje ceremonia wsiadania, przeplatana robieniem znaku Krzyża św. na sobie i najbliższych. Zachrypnięte hasło (Już!) i... lecimy. Powoli wzbijamy się wzwyż. Przed okiem przesuwiają się przecudowne krajobrazy: lśniące wierzchołki drzew rosnących daleko pod nami, szumiące i rwące bardzo potoki, względnie zielone polany. Widać schroniska, liczne hale, ale przede wszystkim wybija się tradycyjnie — wycieczkowy Giewont. Sine turnie milczące głązy, wszystko jest otoczone nieźrównanym czarem i urokiem.

Co kilkaset metrów są żelazne słupy, podtrzymujące linię. Gdy się te podpory przejeżdża, wówczas następuje tragi-komiczny moment w tej podróży napowietrznej Kobiety chwytają się z melodyjnymi piskami. Powodem tego, jest gwałtowne obniżenie w dół spowodowane siłą ciężkości. W połowie drogi jest przystanek noszący nazwę - Myślenickie Turnie. Po kontroli biletów, przesiadamy się do następnego wagonika. W 7-em minut później znajdujemy się na sławnym dziś - Kasprowym Wierchu. Po wyjściu na wolną przestrzeń widzimy kalekę, któryby napewno tu sam nie wyszedł a korzystając z dobrodziejstwa kolejki, mógł jeszcze raz zobaczyć ukochane góry. Za kilka minut rozpoczynamy wędrowkę. Około godz. 6-tej wiecz. wracamy do domu, gdzie odczuło się te 15-ście minut jazdy. Chciało się jeść a właściwie się nie chciało. Mimo wszystko przyjemnie było jednak fruwać i bujać w przestworzach.

Zwyk.

Rekord czasu.

(Humoreska fantastyczna.)

Było to w roku 1944. Jechaliśmy sobie z moim znajomym na przechadzkę samochodem. Szybkościomierz wskazywał tempo 563 km/godz. Szosa była gładka, więc zdawało się nam, że lecieliśmy prawie w powietrzu. Nagle zauważyliśmy wtelki otwór w ziemi. Nie zdążyliśmy maszyny zahamować i... poczuliliśmy, że lecimy w dół. Znajomy zapalił reflektory drogę mieliśmy jasną. Po trzech minutach wylądowaliśmy gdzieś w... nieznanym mieście, w którym mówiono po angielsku. Jak się okazało, było to Chicago. Powodem, któremu zawdzięczaliśmy znalezienie się w Ameryce, była właśnie ta wielka dziura, przez którą przechodziła oś ziemi, a którą poprzedniej nocy porwali złodzieje. Magistrat nie mógł tej dziury załatać, ponieważ nie było tak wielkiego korka. W Chicago wsiedliśmy na druty telegraficzne i poczta tamtejsza wysłała nas przez telegraf do Europy. Gdyśmy tu lądowali, byliśmy cali poobklejani amerykańskimi znaczkami pocztowymi.

Fata Morgana

!!!
C
Z
U
W
A
J

KĄCIK HARCERSKI

Red. M. Włosowicz (Il. H. Dąbrowskiego)

Druhowie!

Rozpoczęliśmy już „trzyletni wyścig pracy,” twórczej i intensywnej. Czas skończyć z tą biernością i dyletantyzmem. Wyruszając na wycieczkę, zaprowiantowanie schowaj do plecaka a w ręce bierz karteczkę i ołówek, zapisuj skrętnie rzeczy najwięcej ciębie interesujące, dziel się z nami opisaniami twych wrażeń a chętnie z nich skorzystamy.

Wszystkich więc harcerzy wzywam do nadsyłania swych artykułów do „Kącika Harcerskiego,” gdyż powinno być ambicją każdego umieszczenie jego artykułu w „Promieniu.”
A więc, ad rem!

Red.

Wszędzie nas pędzi, wszędzie gna...

Kraków i Lwów pozostały poza nami. Na samą myśl, że podróż dobiega końca, zapominaliśmy o zmęczeniu, które każdemu udzieliło się w obfitości.

Jeszcze parę godzin, trochę cierpliwości a dobijemy celu.

Samą podróż różnie uprzyjemnialiśmy sobie, zależnie od upodobań każdego, choćby wypróżnianiem zawartości paczek zabranych z domu.

Zbyt monotonna, równinna, panorama mijanych okolic mało nas zaciekaiała, tak, że wyglądanie oknami wagonu nie dawało większego zadowolenia.

Począwszy od Stanisławowa sytuacja zmieniła się. W dali sunęły się pokryte, jak gdyby sinawą mgłą — góry. Z każdą chwilą teren stawał się coraz więcej pagórkowaty, a pociąg pędził serpentyną, szukając łatwiejszej drogi między wzniesieniami. Nareszcie góry. Oczy wszystkich lotem błyskawicy przebiegały okolice, czasem utkwily w jednym miejscu. Ach, co za wspaniałe widoki... wrywało się wtedy westchnienie, pełne podziwu...

Wjeżdżamy na stację Delatyn, miasteczka położonego 460 m. n. p. m., i tu osiągamy dolinę rzeki Prutu. Wśród coraz to bardziej malowniczego krajobrazu, z szumem Prutu, pieniącego się i rozbryzgującego się o skały mkniemy naprzód, mijamy wspaniałe letniska, tunele, wiadukty, aż wreszcie wjeżdżamy na stację Tatarów.

Była godzina 6 rano. W tempie przyspieszonym wyladowywaliśmy nasz bagaż drzwiami i oknami. Pociąg ruszył i wnet zniknął za zakrętem, zostawiając na stacji kilkunastu podróżnych.

Mimo tak wczesnej pory na dworcu panował ruch. Podróżni, numerowi, tragarze, służba hotelowa i pensjonatowa, wszyscy mieszały się, nerwowymi krokami zdążając do tu, to tam.

Po złożeniu naszego bagażu na wóz ruszyliśmy z dh. Komend. Hufca „Siwym Sokołem“ na miejsce obozowania.

Tatarów, miasteczko położone w dolinie Prutu, jako miejscowość klimatyczna ściągą corocznie setki letników i turystów. Liczne pensjonaty i hotele zapewniają przybyszom noclegi i schronienie. Na pierwsze wejrzenie jedno uderza przybysza, przewaga mniejszości narodowej. Na cały Tatarów, liczący 2 tys. stałych mieszkańców, można się doliczyć czterech wzgl. pięciu składów katolickich. Gdyby ta okolica choć w 50% przypominała okolice Palestyny, to idąc same-mu, miałoby się wrażenie, że się jest za granicą! „Szarotkami“ tych okolic są jeszcze napisy i ogłoszenia na szyldach, pisane nieraz po „polskiemu.“

Po półgodzinnym marszu przybyliśmy na miejsce obozowania. Teren wspaniały, tylko trzeba było usuwać pnie i gałęzi, wycinać zielska, aby namioty mogły stanąć. Po usunięciu tych przeszkód, na polanie osłoniętej zewsząd drzewami, stanęło 10 namiotów. W środku obozu ustawiliśmy wysoki maszt, na którym powiewał codziennie sztandar, który przechodniom wskazywał, że tu znajduje się obóz.

W okolicy tej, o wybitnie górskim klimacie, spędziliśmy cztery tygodnie na harcach, wycieczkach i zabawach. Z twarzami ogorzałymi od słońca, pełni odniesionych wrażeń, wracaliśmy do domów z zasobem nowych sił do pracy w służbie Bogu i Polsce.

II. H. D.

Tego jeszcze nie było.

Jak gdyby mi się śniło, że mnie ktoś ciągnie za nogę. Nie reaguję. Mruknawszy coś pod nosem przewróciłem się na drugi bok. Dopiero ściągnięcie koca przywróciło mi świadomość.

— Maks, — odezwał się Bronek. Wstawaj, trzecia godzina. Acha, — przypomniałem sobie. Idziemy na wycieczkę. Dziękuję, a czy Czechu wstał? O, już się ubiera, przyspieszonym głosem zapewniał mnie Bronek, nie chcąc budzić Juja i Jasia, śpiących snem zasłużonych.

Wyszedłem z namiotu. Pogoda coś niepewna, gęsta mgła falami przelatywała tuż nad wierzchołkami drzew, zasłaniając szczyty gór. Wiatru prawie nie było, natomiast przejmował lekki chłód.

Rozłożywszy płachty namiotowe na zroszonej trawie, pakowaliśmy nasze plecaki. Gdy wszystkie, niezbędne rzeczy, potrzebne na wycieczkę znalazły się w plecaku, nadto uzbrojeni w laski i aparaty fotograficzne, opuściliśmy obóz, pogrążony jeszcze w śnie. Była to naprawdę dopiero godzina 5 rano.

W milczeniu, jeszcze trochę zaspani, zdążaliśmy drogą prowadzącą od Tatarowa do Jabłonny. W pewnym miejscu droga rozdziela się, na lewo do Jabłonny nad granicą, skierowaliśmy się więc na prawo. Znaki biało-czerwone, malowane na pniach, prowadziły nas do zamierzonego celu.

Trzeba zaznaczyć, że „Polskie Tow. Tatrzańskie” wiele wkłada starań w to, aby turystom ułatwić dostęp na

szczyty przez znakowanie ścieżek, i aby w ten sposób zapobiec błędzeniom, które nie zawsze należą do przyjemności.

Otóż mamy bliższe informacje. Na drzewie była przybita tabliczka a na niej: „Do schroniska pod Chomiakiem 3 godziny marszu.”

Po krótkim odpoczynku i poprawieniu plecaków ruszyliśmy naprzód. Ścieżka teraz wznosiła się coraz wyżej, pnąc nią serpentyną prawie do schroniska.

Czas drogi różnie uprzyjemnialiśmy sobie. „Psotliwy” trochę Czechu zdobył się nieraz na żart, w czym dotrzyzymałem mu towarzystwa, odplacając się strząsaniem rosy z drzew. Przechodziliśmy obok miejsca, gdzie z drużyną weszliśmy na właściwą ścieżkę, prowadzącą na Chomiak. Oczywiście było to wtedy, gdy zbłądziliśmy, idąc na Chomiak, i po „wielkich trudach” mały Hucul wprowadził nas z „bezdroży” na drogę do celu wiodącą.

Chcąc prędzej dostać się do schroniska, „ścinaliśmy” drogę. Wreszcie, ścieżka gwałtownie wznosząca się serpentyną, doprowadziła nas do drogi równej, i jak ślady wskazywały, używanej przez pojazdy.

Po pokonaniu jeszcze dwóch przeszkód w postaci głazów znaleźliśmy się w schronisku, budynku wystawionym z drzewa. Opiekę nad tym, jak zresztą nad wielu innymi schroniskami mają studenci, członkowie Polsk. Tow. Tatr.

Stąd najbliższym naszym celem był Chomiak, szczyt pokryty ogromnymi złomami kamieni, które tu na szczytach tworzą jak gdyby pustynie kamieniste. Wogóle krajobraz w Gorganach jest niedostępny, ale też najpiękniejszy. Niższe szczyty pokryte poloninami i lasami tworzą przepiękną panoramę dla oka turysty, spoglądającego z jednego z wyższych szczytów. Białe obłoki, sunące przełęczami, jaskrawo odznaczają się na tle blade - zielonych sylwetek gór, rysujących się na horyzoncie, przybierając nieraz kształt dalszego ciągu pasma szczytów. Nieraz szczyt zasłonięty u podnóża przez obłoki, zda się płynął jak góra kamieni na falach.

Zainteresowanie u nas wzbudziły okopy, które tu na szczycie utrzymały się do dnia dzisiejszego. Jak z tego można było wywnioskować, była tu krańcowa granica rowów, które w ciągu dalszego marszu, ciągnęły się począwszy od Chomiaka przez szczyt Siniak i Mały Gorgan.

Wejście było łatwiejsze niż schodzenie, chociaż wracaliśmy tą samą drogą. Co chwila trzeba się było podtrzymać, aby nie wpaść lub, co gorsze, nie stoczyć się.

Dalszą drogę na Siniak (m.) odbywaliśmy bez wydarzeń. Jak już wyżej wspomniałem, wzdłuż szczytów ciągnęły się okopy i wneki strzeleckie, porośle oczywiście mchem. Na jednej polanie wznosi się krzyż, a na nim w kole z blachy widnieją litery „J. P.” Jak nas później poinformowano, walczyły tu Legiony i na pamiątkę postawiono ten krzyż, który z daleka przyciąga turystę.

Po zdobyciu nader łatwego i mniej efektownego szczytu Siniaka, kierowaliśmy się na Mały Gorgan.

Droga stawała się coraz trudniejsza do przebycia. Głazy, dochodzące nieraz do dużych rozmiarów, niezmiernie utrudniały szybszy marsz. Skakaliśmy z kamienia na kamień, wolno posuwając się naprzód.

W pewnej chwili straciłem równowagę. Kilka bezradnych chwytów w powietrze, szum, trzask i... moje palce, kolano!! Plecak zsunawszy się na głowę ciężarem swym zwałił mnie głową na dół. Znalazłem się między głazami, nie mogąc w pierwszej chwili podnieść się z upadku.

No, całe szczęście, tylko tyle, a Czechu zamiast mi współczuć śmiał się z tej „wesołej” sceny.

Czekaj bracie, „przyjdzie kreska na Matyska.”

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Milmaksy

Pierwsze nocne ćwiczenia.

A gdy ciszy nocnej czar
przerwie trąbka hasłem — wstan!
wdziewaj mundur, czapkę pas.
ho na leśne harce czas!

— Alarm!! — ryknął instruktor, po odegraniu sygnału, stojąc na środku obozu, pod samym masztem. Komendant tymczasem „buchnął” pod pierwszy namiot, by donieść to każdemu zastępowi osobiście, lecz po uchyleniu ścianki namiotu „odprysł” o pięć metrów, odepchnięty ciśnieniem wewnętrznym zgęszczonego powietrza.

Zrezygnował z postanowienia.

Zastępy i tak już ubierały się w przyspieszonym tempie.

Oboźny z zegarkiem w ręce liczył czas — pięć minut.. dziesięć..

— Druhu Oboźny „Orły” gotowe! — Brawo, rekord!

(No tak, mają wprawę po kilku nocnych podchodach pod obozy druchen, bez wiedzy komendy!)

„Groźny Tur“ goni swoich najmłodszych, z których jeden w szalonym tempie wskoczył lewą nogą w prawy but, a spodnie wdział obszerniejszą częścią do przodu,

— Piętnaście minut...

Gotowe!

Z nad jeziora dolatuje głos trąbki.

— Zastępy razem, biegiem w tym kierunku — wydał rozkaz komendant.

— Ciemniej jak w nosie, a tu jeszcze leć. „Ale rozkaz, trudno. Dobrnęli z poobijanemi nosami o uparte drzewa, a tu trąbka „ryczy“ od strony obozu druchen.

— Oho! Podpada mi instruktor — mruczy „Wściekła Sroka“, który miał monopol w podchodach pod obozy tego rodzaju i pędem pognał zastęp w tym kierunku, plując po drodze na każde drzewo, dopóki mu śliny nie zabrakło.

Tymczasem trąbka odzywa się znów, ale na moście, wreszcie na torze i..

— Jest! — złapany instruktor!!

Wracamy, ale nie do obozu, lecz kawał dalej. „Kaduk“ wie, dokąd!!

Instruktor kręci raz w lewo, drugi raz w tył, znów w lewo, wskos na prawo, aż zakręciło się wszystkim w głowie, że zaczęło się padanie plackiem na ziemię wskutek niewidocznych pni, wyrastających nagle z pod nóg.

— Oho! Wileńskie lasy, nie zagajniki!

Wreszcie stopp!

— Druhu instruktorze gdzie jesteśmy?

— Nie wiem — odpowiada instruktor i znika w gąszczach, skąd dochodzi jeszcze głos:

Za pięć minut chcę pierwszy zastęp widzieć w obozie!

Oszalał! — Ale to nic i po chwili najlepsi szperacze ciągną powiązane zastępy w rzędy.

Mijają trzy minuty...

— Jest obóz! — krzyknął czołowy „Lisów.“

— Gdzie? Pokaż! — Lecz wtem przeszkoda — dziura! w rozpędzie nie zdążono zahamować i zastępowy pada w dół wciągając za sobą cały „ogon“, który zasypuje go po brzegi.

Korzystają z tego „Orły“, „Jelenie“ i „Wilki“ i przez zlikwidowaną przeszkodę wpadają do obozu, a za nimi zniekształceni „rozbitkowie“, którzy w drodze wyjątku pierwsi otrzymali rozkaz odmarszu „pod koce“.

Na szczęście w ciągu nocy guzy poznikały.

„P. J.“

Kącik recenzyj i krytyk.

„Złotowłosa brzdąc”.

Ilekróć ze srebrnego ekranu patrzy na nas roześmiana — rozkosznie buzia złotowłosej Shirley Temple, zawsze radość jakaś chwytą nas za serce i musimy śmiać się razem z tym małym brzdącem. Radość to nie dystygowana, ale taka bezpośrednia, prosta, taka od serca.

Mała Shirley daje nam rzecz najcenniejszą, ów właśnie uśmiech, już to serdeczny — od ucha do ucha, to znowu smutny — przez łzy, więc tym szerszy. A trafia on chyba do wszystkich, którym gorycz nie zżarła jeszcze resztek uczucia.

Tak też było w filmie, zatytułowanym: „Złotowłosa brzdąc”. Historia to prosta, nie zawila — już na początku przewidujemy zakończenie, oczywiście najszcześniejsze:

Mała Elżbietka (Shirley) i jej starsza siostra Mary straciły rodziców — cyrkowców i mieszkają w przytulku dla sierot. Zainteresował się nimi bogacz Morgan, wspierający przytułek; zabiera je do siebie, niby to w imieniu przyjaciela, otacza zbytkiem, no i — oczywiście — zakochuje się w Mary; to już tylko formalność.

Z filmu całego bije pogoda. Ludzie są tu dobrzy, życie piękne. Jedyny czarny charakter, zgorzkniały starzec, jest nieszkodliwy a — co ważniejsze — śmieszny. Ton nadaje mały wisus — Elżbietka — którą wszyscy kochają, właśnie za jej uśmiech i niewinne figle; trudno się nie śmiać z kucyka, śpiącego grzecznie w łóżeczku i przykrywającego się troskliwie kołderką, z Elżbietki w płaszczu męskim, z cylindrem na głowie i okularami na nosie, naśladowującej ruchy i mowę owego „czarnego charakteru”, albo w ślubnej sukni z wiankiem mirtowym na głowie, czy też z Elżbietki — babci w okularach i w czepku — śpiewającej o swych wnukach. Więcej tu komizmu, niż w niejednej komedii o skomplikowanych i często sztucznych sytuacjach. Tu wystarcza jedno filuterne zmrużenie oczu, jedno „O święty Jacku” małej czarodziejki...

„Gwałtu co się dzieje.”

(A. Fredry na scenie Teatru Miejskiego w Ostrowie.)

Nareszcie mamy w Ostrowie teatr, który rzeczywiście jest placówką niewątpliwie przyczyniającą się do podniesienia poziomu kulturalnego południowej Wielkopolski. Dyrekcja teatru bowiem w swych zamierzeniach repertuarowych pragnie wystawiać sztuki o bezwzględnej wartości artystycznej uwzględniając przede wszystkim takich dramaturgów jak Wyspiański, Słowacki, Szekspir i Fredro. Sezon zaczęto od Fredry i słusznie się stało, że komedie tego mistrza sceny polskiej najpierw ujrzeliśmy. Było to tem ciekawsze, że Dyrekcja sięgnęła do komedii granej dość rzadko, a przecież o tak wybitnych walorach że większość z nas widziała ten utwór jako nowość.

„Gwałtu co się dzieje” jest próbą satyry politycznej, a właściwie groteski i tak ją potraktowano wystawiając na scenie. W miasteczku Osieku wybuchła kobieca rewolucja. Żony odebrały władzę swym mężom i zaczęły rządzić miastem. W to wplata się zawikłanie miłosne, które naturalnie zostało pomyślnie rozwiązane, a mężowie po bolesnej nauce wrócili do władzy, obiecując przykładowo szanować swoje żony. Oto obrót treści tej komedii, która jako pomysł w całości i w szczegółach daje świetne pole do popisu aktorom. Naszem zdaniem tryumfy na scenie zbierał Makary, którego widownia nagrodziła nieraz oklaskami. Zdawało się, że postać prawdziwego, starego rębajły żywca została przeniesiona gdzieś z początku XVIII wieku do epoki dzisiejszej. Siostrzyczka Urszula — burmistrz, była bardzo przekonująca i wierzymy, że sprężyste sprawowała rządy w Osieku. Nieczęsto można widzieć taką energię u rządzącej zwykle płci brzydkiej. Świetne także były osoby mężów-pantoflarzy, szczególnie brat Kasper budził współczucie swym strachem przed nie mniej od Urszuli energiczną Barbarą Filipowi też się należy pochwała za świetną grę postaci plotkarza, któremu natura kobieca bardziej odpowiada, niż męska.

Poza doskonałą naogół grą artystów należy podnieść estetyczną i miłą dla oka, choć prostą dekorację. Całość sprawiała miłe wrażenie, a o tym, że komedia spotkała się z przychylnym przyjęciem publiczności, świadczyły szczerze i częste brawa i wybuchy śmiechu.

Wywiad z p. dyr. Szczęsną.

Chociaż w sztuce „Gwałtu, co się dzieje,” niewiasty odgrywały rolę bezwzględnie dominującą i trwożą spełniającą wszystkie serca męskie, to jednak podczas przerwy zdobyliśmy się na odwagę i udaliśmy się w trójkę (dla większego bezpieczeństwa!) do p. dyr. Szczęsnej... celem zrobienia wywiadu dla „Promienia.”

„Byliśmy cośkolwiek „stremowani,” bo to przecież był nasz pierwszy wywiad. Kiedy jednak p. Szczęsna przyjęła nas z uprzejmym uśmiechem, wszelkie obawy pierzchły i natychmiast przystąpiliśmy do rzeczy...

— „Czy moglibyśmy, proszę pani, dowiedzieć się niektórych bliższych szczegółów o nowopowstałym teatrze?”

— Bardzo chętnie. Proszę tylko pytać! —

— Czy zamierzona współpraca szkoły z teatrem doszła do skutku? —

— Owszem. Będziemy się starali dawać jak najwięcej przedstawień dla was odpowiednich. Musicie nam tylko dostarczyć spisu tych sztuk, któreby się wam najbardziej przydały. —

— Jakie sztuki zamierza pani Dyrektorka wystawić w najbliższym czasie? —

Przede wszystkim przygotowujemy teraz „Pana Posła.” Poza tym mamy w repertuarze „Warszawiankę,” Fragment z „Kordiana,” „Mazepę,” „Balladynę” i „Hajduczka.”

— Z pewnością wymaga to dużo pracy! —

— O tak! Praca jest naprawdę ciężka. Dziś np. już od rana mamy ciągle próby... W Ostrowie jestem rzadko. Musimy objeżdżać 22 miasta. Często odbywają się trzy przedstawienia dziennie: dla żołnierzy, dla młodzieży szkolnej i dla dorosłych. —

— Z tego wynika, że teatr swoje zadanie kulturalne spełnia!?

— Spodziewamy się, że tak. —

— A co do obsady? Czy grają także amatorzy? —

— Są tylko aktorzy. To już nie tak, jak w ubiegłym roku. Możecie zresztą, panowie, od razu poznać grę aktorów. —

— Czy wystawienie jakiejś sztuki jest połączone z wielkimi kosztami? —

— O, jeszcze jak! Obliczyłam, że do takiej „Warsza-

wianki" np. same kostiumy kosztują mniej więcej 300 zł. Głowa aż boli po takich obliczeniach. —

— W takim razie subsydium z ministerstwa bardzoby się przydało. —

— O, tak. Inaczej musiałabym conajmniej rok pracować, żeby się wróciły 5000 zł, które włożyłam z własnej kieszeni w teatr. —

— Kiedy Pani Dyrektorka zamierza wystawić u nas następną sztukę? —

— Prawdopodobnie koło 25 października wystawimy „Pana Posła.” Jest to bardzo wesoła i ładna sztuka. Później... w listopadzie pójdzie „Warszawianka,” no — a potem to jeszcze zobaczymy. —

Na tym zadowoliliśmy naszą „ciekawość” i podziękowawszy miłej i uprzejmej P. Dyrektorce za informację, wróciliśmy do sali, aby w dalszym ciągu przypatrywać się „rządowi kobiecym,” odbywającym się — dzięki Bogu! — tylko na scenie...

„3”

Kącik krytyczny.

Kol. B. P.: Wiersz „Gimnazjasta” słaby. Nie nadaje się. (RO.)

Kol. „e — S”: „Żywot Ambrożego z błotem zmieszanego...” nie bardzo się udał Koledze. Zresztą artykułów podobnych pod względem treści było już tyle, że naprawdę trudno byłoby napisać coś oryginalnego. Może Kolega postara się napisać coś na inny temat?

Red. Nacz.

Komunikaty Redakcji.

Ogłaszamy „**k-o-n-k-u-r-s**” na najlepszy projekt okładki „Promienia.” Bliższych informacji udziela kierownik wydawnictwa kol. Ożegowski z kl. VII. Na jego też ręce należy składać gotowe projekty.

Przypominamy raz jeszcze, że wszelkiego rodzaju artykuły winny być pisane zupełnie w myśl wskazówek, jakie podaliśmy w zeszlrocznych numerach „Promienia.” Poza tym należy pamiętać o tym, że obowiązuje nowa pisownia!

Red Nacz.

HUMOR.

„Z pamiętników ucznia ze szumiącym łbem.”

„Nie zdarzyło” mi się jeszcze nigdy, bym z chęcią i pospiechem wykonywał jakiegokolwiek zarządzenie Dyrekcji lub M. W. R. i O. P. Sam fakt że to pochodzi z tych organów, wystarczało, bym zupełnie je ignorował.

Jednakowoż pod koniec zeszłego roku szkolnego, czerwony z radości, jak burak, ze świadectwem w ręku, wypysłem z Gimnazjum i huch, wpadam do pobliskiej księgarni. „Proszę — powiadam — o butelkę najczerwieńszego atramentu!” Otrzymawszy to, czego zażądałem, chowam się w najbliższej bramie. Po chwili wychodzę, a tarcza i wypustki, aż palą czerwienią. (N. B. ćwierć flaszeczki poszło na spodnie, ale to nic, bo do czerwieni przyzwyczaiłem się w czasie zadań szkolnych.

Dumny jednak byłem jak paw, i nucąc pod nosem paradowałem po „Kolejówce.” W związku z tem spostrzegłem, że jedna z nadobnych koleżanek, ta sama, co tydzień temu pyszniła się purpurą (nietylko ust²leczył) i wypustek, obecnie, z nosem spuszczoneym na kwintę, oglądała swe wypłowiałe, bledziutko-błękitne naszywki.

Ale ta moja radość zaczęła się zmniejszać, skoro kalendarzowi ubywało tyle kartek, że odsoniły datę 3. IX. Zupełny zanik radości nastąpił na jednej z mnóstwa, lekcji greckiej. Profesor z miną niewinna, niby to oglądając z zaciekawieniem koniec swego ołówka, powiada:

— Tłumacz!

„Podnoszę się, klnąc w duchu na tę Odyseję. Nieśmiało (co mi się tylko w tych wypadkach zdarza) zaczynam: „O, okropnie! Jak ci ludzie... — zaciąłem się i dla pewności opuściłem dwa wiersze, by potem: „A przecież giną, cierpią przez własną głupotę...” — Tu mnie zatknęło. Doprawdy, olśniła mię ta myśl, i chcąc tę chwilę uświetnić, zamilkłem.

Profesor z twarzą jak maska, pisząc w notesie 4, siekając każde słowo, powtarzał:

„Cierpią przez swoją głupotę...”

Najgorzej to jednak było z tą „grandą.” Nie potrafili zrozumieć, mimo mego tłumaczenia, że przecież Odyseję

deklamować należy w strojach fioletowych, a nie w czerwonych jak Iliadę.

I tu pokazało się pierwsze przekleństwo złożone z czerwonymi wypustkami.

Co do greki, to mamy ze sobą na pieńku od zeszłego roku. Zaczęło się zupełnie niespodziewanie. Na ulicy w czasie powrotu „rzekomo” ze szkoły, spotkałem bóstwo. Mówię wam: Marzenie. cud, niebo, niczem porcja lodów. Od tego dnia straciłem szczęście, zarówno w kartach, jak i w bilardzie. A od wieczoru, w którym poznałem jej nazwisko, każdy wolny skrawek papieru, każdy kawałek ławki, każda bez mała rzecz, wpadłszy w moją rękę, wychodziła z jej monogramem, który w ludzkim, t. j. łacińskim piśmie, wyglądał tak: E. R.

Nie chciałem się jednak z moją tajemnicą wydawać na pastwę szyderców świata (Kaju, Zbychu, Klociu) i, po raz pierwszy w mym krótkim życiu, uciekłem się po pomoc do greki. Skorzystałem z tego, że „E” (etha) po grecku pisze się H i że „R” (ro) przybiera kształt P. Dlatego jeślibyś zajrzał do zeszytów moich z tego czasu to ujrzałbyś niezliczone roje H. P., H. P., H. P....

Było dobrze, aż nagle grom spadł w pewne gorące popołudnie czerwcowe, kiedy usiadłszy na odosobnionej ławce w parku, zacząłem wycinać H. P. Właśnie kończyłem misterne wykończanie serca, gdy przede mną stanęła właścicielka tego monogramu.

Myślałem, że uśmiechnie się tak, jak zwykle, a ta... spojrzała, że zadrzałem. Westchnęła. Zachwiała się. Podniosła rękę. Jeszcze raz westchnęła i w bek...

Wobec takiego obrotu sprawy stanąłem jak wół przed malowanymi wrotami. Nie pomogło nic. Uciekła.

W miesiąc później dowiedziałem się, że jej najgroźniejsza rywalka posiadała jako monogram owe H. P., które już się czytało jako głoski łacińskie.

I stąd mój rozbrat z greką.

Nie myślcie, by to jednak minęło bez echa. Otóż właśnie parę dni temu moi „kumple,” na ogół „bycze chłopcy” zaczęli coś tam brzęczeć na temat tej minionej (na szczęście monogramomanii.) Kiedy już mi było za dużo, kiedy mi powiedzieli, że ja taki „fajtlapa” zawzięłem się, i ponuro przyrzekłem im, że za trzy dni ujrzą mię w towarzystwie nowej parv czarnych oczu w kinie.

I rzeczywiście. Było to dwa dni temu, kiedy w „Apollo” panował niemożliwy ścisk, spowodowany napływem blisko setki gimnazjastów, którzy nie bacząc na ceny (obecnie podwyższone) stawili się gnani ciekawością.

Tak się złożyło, że w chwili, gdy wkraczałem na salę, prawie wszyscy zajęli swe miejsca i wybałuszając oczy, oglądali nas, t. zn. mnie i owe „czarne oczy.” Co do mnie, to prowadziłem moją towarzyszkę z dumą następcy tronu w Monaco.

Już zgaszono światła, a jeszcze słyszałem szepty podziwu i zazdrości.

„Widzisz go?” „A to ci bestia.” Łe, ino się wyglupia.” „No, ale zawsze...” i t. d. i t. d.

Przedstawienie skończyło się a ja z podobną, jak poprzednio dumą, ruszyłem ku wyjściu. Przedzieraliśmy się przez tłum. W pewnej chwili towarzyszka moja zagapiła się na coś. Zły, zacząłem ją ciągnąć za rękaw, szturchać, ale ona nic. Wkońcu wściekły jak 1.000.001 diabłów, chwyciłem ją za koniec spódnicy i ciągnę. Wtem rozległ się ledwo-słyszalny trzask i spódniczka błyskawicznie spłynęła na ziemię...

W kinie wybuchł homerycki śmiech. A wiecie dlaczego? No...? Bo oto pod spódniczką ukazały się spodnie gimnazjalne zawinięte do kolan... Owymi, Czarnymi oczami, okazał się mój serdeczny i oddany przyjaciel Cezary Seweryn Czajnik....”

Na tym kończy się rękopis pamiętników Bernarda Wazonika.

Grzela

Alfabet uczniowski.

- A — hsencja — ostatnia deska ratunku dla nieprzygotowanych.
 B — ryk — najetyczniejszy sposób „kiwania” profesorów.
 C — ałus — w braku..... można całować w lusterko.
 D — owód geometryczny — piąte koło matematyki.
 E — egzamin — chwila „słabości” profesora, w której jakby sam nic nie wiedząc, o wszystko pyta.
 F — ifa — idea komunistyczna, bowiem i profesoro-

- rzy i uczniowie mają równą ilość „fif.” (Profesorzy w notesie, uczniowie „na karku”) Poprostu można powiedzieć, że uczeń daje profesorowi „czwóry...”
- G — rzybek — „bilardowy,” roślina hodowana w restauracjach, bliżej mi nieznana (Zaleca się poznanie jej)
- H — umor — objaw zwyrodnienia u ucznia.
- I — deał — uczeń kompletnie przepisowy (plus) czarne skarpetki w czarne paski, granatowy krawat w granatowe kwiatki..
- J — edynka — objaw anormalny.
- K — olejowa — ulica chodzącej tęsknoty, cichych westchnień, bezczelnych spojrzeń i darcia podeszew.
- L — ist miłosny ideał zawikłania, romantycznej błagi, przeżytek... dobry dla „początkujących.”
- M — iłostka — rzecz wskazana i niby zakazana w naszych stosunkach, nic nie mająca wspólnego z sercem... Zresztą nie wiem, co to jest [!!] Praktyka konieczna.
- N — ota — zostanie zniesiona zupełnie (!) przy następnej reformie szkolnej.
- O — dzywianie — zajęcia przedpołudniowe połowy uczniów.
- P — ech — zostać w klasie (repetować), mając na przejściu 6 „fif.”
- R — andka — nie warto pisać — lepiej praktykować. Obustronne karmienie się „kawałami, zalewanie w bambus,” szkoła cierpliwości, unikanie światła.
- U — topia — ukończyć wszystkie klasy gimnazjum (starego typu) w ciągu 8 lat.
- W — agary — ważna zaleta szkoły średniej, świetna tradycja. Gdyby nie wagary, nie byłoby szkoły.
- Z — akazany film — film ładny. Praktycznie jest brać na taki film cywilne ubrane.

„Kropka.”

ŻYCIE ORGANIZACYJNE

Sprawozdanie z Zebrania Programowego T. T. Z-etu

Dnia 26 września hr. o godz. 17-tej odbyło się Zebranie Programowe T.T.Z-etu. Po zwykłych formalnościach wstępnych, po odczytaniu okólnika Zarządu Głównego kol. prezes Szczublewski Józef wygłosił na wstępie swój referat miedotyczny pt. „Metodyka pracy w T.T.Z-ecie.

Referent omawiając cel Towarzystwa, podkreślając jego ideologię, omówił pracę w poszczególnych kołach naukowych, rzucając szereg konkretnych uwag i wskazań. We wolnych głosach wybrano tematy referatów na Zebrania ideowe:

„Czy gazeta wychowuje?” — Polonis Byrys. VIII.

„Cel i zadania dzisiejszego teatru.” — Hądzel Franciszek VIII.

„Społeczna rola wychowania fizycznego.” — Szymoniak Jan VIII.

„Rola religii w życiu ludzkim.” — Ożegowski Przemysław VII.

Poza tym załatwiono kwestię składek, frekwencji, wydażeń i przyjęć. Pan Dyrektor podał myśl utworzenia sekcji dla młodych przy Kole Nauk Historycznych i Klasycznych i przekazał tę sprawę do Zarządu. Na zebraniu obecny był także p. prof. opiekun Chrzanowski

Obecnych było 60 proc.

Sodalicja Mariańska.

Sodalicja Mariańska zebrała się na pierwsze zebranie powakacyjne dnia 25. IX. 1936 o godz. 15-tej w świetlicy.

Po modlitwie i odczytaniu sprawozdania z przedwakacyjnego, ostatniego zebrania, kol. prefekt odczytał komunikaty konsulty. Między innymi: sekretarzem zostaje sod. Woschke na miejsce ustępującego sod. Miemca; do życia na nowo powołano Żywy Różaniec, wreszcie sprawy kasowe oraz warunki przyjęcia nowych członków.

W następnym punkcie programu sod. Szczublewski przedstawił nam własne wrażenia i przeżycia ze zjazdu w Gnieźnie. Duże wrażenie wywarła na sod. referencje msza św. u grobu św. Wojciecha, którą odprawił ks. biskup Laubitz, a po której nastąpiła wspólna komunია św. Przedpołudniem na zebraniu usłyszeliśmy referat o Akcji Katolickiej. Rozrywką w czasie zjazdu była wycieczka autobusami do Biskupina, na której poznali się sodaliści z różnych zakątków kraju. W ostatnim dniu usłyszeliśmy referat na temat tegorocznego hasła: „Żyj w przyjaźni z Bogiem.” Niezatarłe wrażenie pozostawiła mowa X. Winkowskiego wygłoszona na pożegnanie, oraz śpiew hymnu „Błękitne rozwińmy sztandary...” przez 700 uczestników zjazdu.

W dyskusji zabrał głos sod. Sobczak A. poruszając sprawę szczegółowego sprawozdania z referatów i celu zjazdu.

W wolnych głosach moderator przedstawił nam zeszłoroczne życie w organizacji, nawołując do polepszenia zewnętrznego i moralnego, by stać się apostołem w szkole i klasie.

Zebranie trwające 55 min. zamknął kol. prefekt hasłem, poczym odśpiewano hymn związkowy.

TREŚĆ: Jesień... — Czy będzie lepiej?... — Nasz pokój i nasza wojna. — Gilbert Keith Chesterton nie żyje!! — Czar wsi. — Deszcz. — Abeuntibus parentibus. — Fanfara. — Z dziennika pierwszoklasisty — Czar jesieni. — Kącik Najmłodszych. — Kącik harcerski. — Kącik recenzyj i krytyk. — Kącik krytyczny. — Komunikaty Redakcji. — Humor. — Życie organizacyjne.

Czcionkami Drukarni Powszecznej J. Bąka i R. Górskiego
w Ostrowie Wlkp., ul. Kaliska 31 a.
(Nakładem T. T. Z-tu)